

Czy w świecie ogarniętym wojną może przetrwać  
coś tak kruchego jak pierwsza miłość?

# Odnajdę cię

AGNIESZKA  
OLEJNIK

FILIA



AGNIESZKA  
OLEJNIK

Odnajdę  
cię

FILIA



## LATO 1945 ROKU

Powietrze pachniało świeżością i mokrym mchem, jak zwykle po letniej burzy. Ptaki, które ostatnie pół godziny spędziły w sobie tylko znanych kryjówkach, teraz przysiadły na gałęziach, strosząc pióra, by strząsnąć z nich wilgoć – i rozśpiewały się na nowo, radośnie, z zapalem godnym lepszej sprawy.

Jakie to niezwykle, że świat wciąż trwa, myślała zmoknięta, wychudzona kobieta, która szła powoli przez las, z trudem stawiając obolałe stopy w niewygodnych pantoflach. Ludzie zgotowali sobie piekło na ziemi, a tuż obok przez cały ten czas tętniło życie: nabrzmiewały pąki, rozwijały się kwiaty, wykluwały się pisklęta, wszystkie te żaby, ślimaki i motyle robiły swoje, jakby wojny wcale nie było. Mój świat porwano na strzępy, na głowę zawalił mi się nieboskłon, a tutaj, w lesie, wszystko jest jak dawniej.

Nie płakała. Nie miała już w sobie łez, ani jednej, choć czasem wołałaby, żeby było inaczej. Miała wrażenie, że stwardniała w środku, stała się nieczuła, obojętna i zimna.

Po drodze widziała wiele ludzkich nieszczęść, lecz nie potrafiła wykrzesać z siebie ani odrobiny współczucia.

Najgorszy był brak czegokolwiek, na co jeszcze mogłaby czekać, liczyć, o czym by marzyła albo na co miałaby nadzieję. Nie potrafiła nawet odpowiedzieć sobie na najprostsze pytania: Po co właściwie przebiera nogami, stawia kolejny krok, i jeszcze jeden. Po co oddycha? Jaki sens ma ten wysiłek?

Straciła wszystko, co stanowiło jakąkolwiek wartość. Dwoje dzieci. Rodzinę. Dom. Niewinność. Wiarę w miłość, ba, nawet w człowieczeństwo.

Jeśli jednak szła, ignorując ból palców ściśniętych w zbyt ciasnych butach, to dlatego, że gdzieś tam w lesie, za kilka kilometrów, spodziewała się znaleźć jedyne go człowieka, jaki mógł – i powinien – bez uszczerbku na godności i honorze przetrwać tę potworną nawałnicę, która przetoczyła się nad światem.

Peter. Tylko on miał szansę wyjść z tego piekła z wiarą, że dalsze życie ma sens. I tylko on mógł ją uratować.

## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ KWIECIEŃ 1940 ROKU

Dzień był zimny i ciemny – jeden z tych, kiedy człowiekowi wydaje się, że wiosna nigdy nie nadejdzie. Katrin z westchnieniem odłożyła robótkę. Dziergała na szydełku serwetę do pokoju gościnnego, ponieważ chciała czymś zająć ręce. Dzieci drzemały, podobnie jak Erna. Po mroźnych nocach ziemia wciąż pozostawała zmarznięta, nie można więc było zacząć prac ogrodowych. Ugotowana na obiad zupa stała w garnku na kuchni, wystarczyło ją podgrzać; w domu panował porządek... Nie było nic do roboty. Katrin czuła się samotna i nudziła się niemiłosiernie. Najchętniej włączyłaby radio, lecz słuchanie propagandowych audycji o niezwyciężonej armii niemieckiej przyprawiało ją o ból głowy, a na potajemne wyszukiwanie BBC za nic by się nie odważyła. Odkąd została matką, zbyt wiele miała do stracenia.

Zdarzały się dni, kiedy Katrin żałowała, że Erna pozbyła się większości ziemi albo że nie miała już świni i krowy – ciężka praca w gospodarstwie sprawiała, że nie było czasu na rozpamiętywanie. Zmęczenie skutecznie za-

bijało smutek, a przynajmniej przytępiało go trochę. Dopóki bliźnięta były malutkie, ich mama nie znajdowała ani chwili dla siebie; wciąż trzeba było któreś przewijać, karmić, uspokajać... Teraz jednak miały roczek, opanowały umiejętność chodzenia, więc noszenie na rękach się skończyło. Przesypiały już całe noce, a ich codzienna drzemka wydłużała się czasem nawet do dwóch godzin. I choć nadal trzeba było mieć oczy dookoła głowy, aby je upilnować, to coraz częściej przychodziły chwile takie jak ta – kiedy Katrin zostawała sama ze swoimi niewesołymi myślami.

Od dnia, w którym Franek Wilk przywiózł z Danzig list od Petera – ową dziwną, jakby zaszyfrowaną wiadomość, z której nie wynikało nic ponad to, że jej nadawca żyje i o niej pamięta – Katrin nie dostała żadnych wieści od ukochanego. Nie wiedziała nawet, gdzie przebywa, nie miała zatem pojęcia, czy atak Rzeszy na Polskę mocno komplikuje jego sytuację. W Prusach Wschodnich wojny się właściwie nie odczuwało, poza wprowadzeniem reglamentacji żywności nie zaszły tu żadne poważne zmiany; dziewczyna zdawała sobie jednak sprawę, że Peter może znajdować się na terenach objętych walkami. Całymi godzinami wpatrywała się w kartkę, poznaczoną teraz śladami jej łez, i próbowała znaleźć między wierszami informacje, których Peter najwyraźniej nie mógł przekazać wprost.

– Może zwyczajnie wypuścili go z obozu – podpowiadała jej Erna, by jakoś pomóc.



– Wtedy nie byłoby tych wszystkich tajemnic. Napisałby bez ogródek: *Kochana Katrin, jestem w domu, wezmę tylko paszport i przyjeżdżam...* Albo właśnie: *Nie przyjeżdżam, bo choruję, nie mam siły, brakuje mi pieniędzy na bilet...* Cokolwiek, jakaś sensowna informacja! A tymczasem... pomieszanie z poplątaniem! Jego kuzynka, a moja przyjaciółka Marlene, nazwana ciocią? Albo ta wzmianka o moim tacie jako wujku?! Zupełnie jakby tego nie pisał Peter, tylko ktoś inny, kto ledwie go zna i myślą mu się te wszystkie imiona!

– A może rzeczywiście mu się pomyliły – mruknęła zniechęcona Erna. – Może rozum mu odjęło od tego, co przeżył w obozie.

Takie irytujące komentarze sprawiały, że Katrin coraz rzadziej rozmawiała z Erną o owym liście – wołała zachowywać swoje domysły dla siebie. Bo dla niej było jasne, że Peter nie stracił rozumu, wręcz przeciwnie – ten list stanowił dowód jego sprytu i mądrości. Czuła, że dokładnie każde zdanie przemyślał, że w wielu fragmentach zawiera się sekretne przesłanie, zrozumiałe tylko dla nich dwojga. Choćby te słowa: *Będziemy jak dzikie gęsi, które zawsze trafiają z powrotem do gniazda.* To nie był bełkot szaleńca, lecz sprytnie przemycona wiadomość: wciąż cię kocham, nie zapomniałem naszych rozmów i obietnic.

Jedno w tym wszystkim wydawało się pewne: nie był to list z obozu. Franek twierdził, że poczta obozowa zawsze przychodzi na specjalnych blankietach. A skoro tak, to

istniały tylko dwie możliwości: albo zgodnie z przypuszczeniami Erny Petera zwolniono, albo zdołał uciec. Gdyby był wolny i nie musiał się ukrywać, rozważała dziewczyna, mógłby pisać bez ogródek. Pozostawała zatem ta druga wersja: że uciekł. Jeśli tak, to gdzie przebywa, dokąd się udał, u kogo znalazł schronienie? Stempel pocztowy na kopercie był nieco zamazany, więc nie dało się rozszyfrować nazwy miejscowości, w której została nadana przesyłka. Na pewno nie było to Sommerfeld ani Forst, ani Sorau; kończyło się na „hausen”, a takiego miasta Katrin nie знаła. Słyszała jedynie o obozie w Sachsenhausen, wysyłała tam przecież kopie swoich listów, ale oficjalne zawiadomienie o śmierci Petera przyszło z Dachau. To zupełnie inny obóz, czyż nie? Katrin gubiła się w tym wszystkim.

Po jakimś czasie znała już list na pamięć i w chwilach smutku cytowała sobie całe fragmenty. Najbardziej lubiła zakończenie: *Mam nadzieję, że przyjedziesz jeszcze kiedyś do Sommerfeld i znów spotkamy się na rozstaju dróg...* Kiedy ogarniało ją z wątpienie, powtarzała także prośbę ukochanego: *Pamiętaj, bądź dobrej myśli, nigdy nie trać wiary.* I właśnie to żarliwe zakłęcie pozwalało jej ufać, że nie wszystko stracone.

Zastanawiała się, co mogłaby zrobić, aby umożliwić ukochanemu odnalezienie jej i dzieci. Inna rzecz, że o tych ostatnich Peter zapewne nie wiedział – w przeciwnym razie w jego liście znalazłaby się jakaś wzmianka o bliźniętach. Skoro zdołał w zaszyfrowanej treści umieścić i Marlene,

i Jacoba, to z pewnością zdołałby przemycić także całusy dla malutkich Ursuli i Johanna. Zresztą to łączyło się w logiczną całość: gdyby wiedział, że został ojcem, znalazłby także nowy adres Katrin. Albo więc jej listy do niego nie docierały, albo uciekł z obozu już wcześniej, zanim ona którykolwiek z nich wysłała. Do tych teorii nie pasowało z kolei oficjalne zawiadomienie o jego śmierci, podpisane ręką Rudiego Hertza. Nie zostało zaadresowane do Danzig, lecz tutaj, do Mörten, a zatem przynajmniej jeden z jej listów wysłanych z Prus Wschodnich musiał dojść do Dachau. Inna sprawa, że najwidoczniej nie został przekazany adresatowi.

Od tych wszystkich hipotez Katrin plątały się myśli. W owych chwilach modliła się żarliwie, ponieważ wiara – w Boga i w miłość Petera – była jedynym, co pomagało jej zachować uśmiech na twarzy i pogodę ducha. Nie mogę wciąż płakać, mówiła sobie. Nie takiej matki potrzebują nasze maleństwa. Jestem im winna szczęśliwe dzieciństwo – na tyle, na ile to w ogóle możliwe, gdy się nie ma ojca.

Na razie Ursula i Johann żyli w zupełnej nieświadomości tego, że w ich codzienności kogoś brakuje. Erna kochała je jak rodzona babcia. Chętna do zabawy z dziećmi okazała się także sąsiadka Maria, która – gdy Franek Wilk wyjechał – zapomniała o zazdrości i znów zaczęła darzyć Katrin przyjaźnią.

Tak więc bliźnięta rosły zdrowo, otoczone miłością oraz opieką trzech kobiet, i tylko brakowało w tym wszystkim mężczyzny. Katrin obawiała się, że ów brak wpłynie jakoś

na ich rozwój. To, że teraz, gdy uczą się wypowiadać pierwsze słowa, nie będą używać słowa „tata”, wydawało się najmniejszym problemem. Gorzej, że mały Johann będzie dorastał bez ojcowskiego wzorca. Skąd się dowie, jak wbijać gwoździe, do czego służą poszczególne narzędzia, jak się naprawia zepsuty rower? Jak nauczy się bycia mężczyzną: odpowiedzialnym, dbającym o swoją rodzinę, troskliwym?

– Czym ty się w ogóle przejmujesz? – zapytała Erna, widząc, jak Katrin się zamartwia. – Wybuchła wojna, wielu chłopców będzie się wychowywać bez ojców. Śmiem twierdzić, że to akurat drobnostka. Kobiety są wystarczająco silne, by radzić sobie same. Zastąpisz dzieciom ojca, a jak trzeba, to i gwóźdź wbijesz, i grządki przekopiesz. Masz to szczęście, że trafiłaś na mnie, a ja przywykłam do samodzielności. Nauczę cię wszystkiego, kochana, z wyjątkiem wychowywania dzieci, bo tego sama nie potrafię.

Te zapewnienia trochę podniosły Katrin na duchu.

– Damy sobie radę – wyszeptała, układając dzieci do snu. – Opowiem wam o tatusiu i będziemy się za niego modlić. A pewnego dnia, gdy nas odnajdzie, pobiegniecie do niego z radością, wołając: „Tata, tata przyjechał!”

\*

Peter jadł gorący kapuśniak, dmuchając w talerz, by jak najprędzej pochłonąć swoją porcję i wziąć się do roboty. Był nerwowo; odkąd wrócił z Danzig, przekonawszy się, że Katrin już tam nie mieszka, nie zaznał spokoju. Podpity lokator mieszkania przy Grenadiergasse powiedział, że poprzednie lokatorki wyjechały. „Kaszuby albo Prusy Wschodnie, jakieś miasto na literę M...” – tyle jedynie Peter zapamiętał, lecz te informacje były zbyt skąpe, zbyt niepewne, by mógł odszukać ukochaną.

Wówczas, na początku września trzydziestego dziewiątego, najpierw powlókł się na stację i po prostu partrył na przyjeżdżające pociągi w głupiej nadziei, że dobry Bóg ześle mu cud: z jednego z wagonów wysiądzie Katrin i powie, że czekała, że go szukała i wciąż kocha. Z każdą upływającą minutą ta nadzieja jednak gasła, aż w końcu nie zostało z niej zupełnie nic, nawet pełgający płomyczek. Bo czyż Haupke nie wyraził się jasno? Powiedział przecież: był tu jakiś motocyklista, chyba mąż albo narzeczony tej młodej, skoro zabrał list do niej. Kogo

Katrin wysłałaby po listy? Na pewno kogoś zaufanego. Peter rozważał wprawdzie, czyby to nie był Jacob Dulke – bo mógł się w międzyczasie odnaleźć, czyż nie? Ale Haupke wyraźnie mówił o młodym mężczyźnie. Zatem nie, to nie był pan Dulke, lecz jakiś obcy, choć dla Katrin najwyraźniej bliski. Czyżby rzeczywiście, jak pisał Rudi w liście, ułożyła sobie życie?

Peter usiłował odtworzyć w wyobraźni bieg wydarzeń. Co się działo w życiu Katrin po tym, jak on trafił do obozu? Od Haupkego usłyszał jedynie, że z czworga lokatorów zostały dwie kobiety, stara pani Dulke z wnuczką, i że na pewno nie mieszkają już w Danzig, bo jakiś czas po wyprowadzce któraś z nich przysłała pocztówkę. Sugerował, że mogły się rozdzielić. Tylko po co miałyby to robić? Kessler gubił się w domysłach.

Potem poczuł nikły przypływ otuchy: skoro Katrin – gdziekolwiek się podziewa – przysłała owego mężczyznę na motorze po listy, to chyba wciąż czeka, wciąż myśli o Peterze, pamięta swoją obietnicę? Sam motocyklista może być kimkolwiek – sympatycznym sąsiadem albo krewniakiem, w końcu z opowieści Katrin wynikało, że babcia Cila ma tu w okolicach liczną rodzinę...

A więc nie należy się poddawać! Trzeba szukać dalej, choćby do śmierci, bo dopóki istnieje szansa, że dziewczyna, którą poślubił przed Bogiem, gdzieś na niego czeka, dopóty nie wolno mu zrezygnować! A zatem co teraz? Miasto na literę M, Kaszuby czy Prusy Wschodnie?

Peter słabo znał geografię, nie ukończył nawet szkoły, dlatego nie miał pojęcia, jakie miasta o nazwach zaczynających się na literę M znajdują się w okolicy. Przez chwilę kręcił się po dworcu kolejowym, aż wreszcie wpadł na pomysł, by zapytać któregoś z pracowników stacji. Zdawał sobie sprawę, że to nietypowe zachowanie, nie był jednak w stanie wymyślić nic lepszego.

– Na M? – powtórzył zagadnięty przez niego kolejarz, na którego twarzy dominował sumiasty wąż. – To chyba Marienburg. Czekał pan... Chyba żeby chodziło o Mohrunen. Albo Maldeuten.

Peter poczuł, że kręci mu się w głowie.

– Czy może pan... Mógłby pan mi to zapisać? – zapytał błagalnie. – Boję się, że nie spamiętam.

Najwyraźniej jego szczere, jasne spojrzenie sprawiło, że ludzie obdarzali go sympatią, bo prędko znalazł się jakiś niepotrzebny świstek i kopiowy ołówek, którym stary konduktor nabazgrał kilka nazw. Oprócz wymienionych wcześniej miejsc w spisie znalazły się również Mehlsack, Miswalde, Marienwerder oraz Mewe.

– To tylko te, gdzie zatrzymują się pociągi – dodał kolejarz. – Pewnikiem są i inne, ale ja ich nie znam. No, jest jeszcze Memel... A po co ci właściwie te nazwy, młody człowieku?

– Żony szukam – mruknął Peter, obawiając się zdradzić zbyt wiele. – Rozdzieliliśmy się, miała na mnie czekać tu, w Danzig, ale na wieść o wojnie wyjechała. Sąsiad obiecał

przekazać adres, ale zgubił, pijus jeden... Zapamiętał jedynie, że na M.

– Ooo, chłopie, to życzę powodzenia – odparł wąsаты ze współczuciem. – Będzie ci potrzebne, biedaku. Świat jest wielki, a miast i miasteczek nazywających się na M są setki...

– To mówi pan, że jeszcze Memel? – Peter nie pozwolił sobie odebrać entuzjazmu. – Dopisze pan?

– Ale nie, to chyba niemożliwe. Memel jest daleko na północy, żonka by się tam nie wybrała... Pewnikiem to będzie Marienburg. Na twoim miejscu od tego bym zaczął.

Peter posłuchał owej rady. Choć noga dokuczała mu okropnie, choć był głodny i niemiłosiernie spragniony, a ze zmęczenia chwilami przysypiał na stojąco, przez kilka kolejnych dni jeździł z jednego miasta do drugiego i wszędzie rozpytywał o płowłosą dziewczynę, Katrin Dulke, być może podróżującą w towarzystwie staruszki, ale możliwe też, że samotnie. Albo motocyklem, z młodym mężczyzną.

Wszystko na nic. Po dwóch tygodniach takiej tułaczki od dworca do dworca Peter musiał przyznać, że przegrał z kretešem. W odwiedzanych przez niego miastach o Katrin ani jej babci nikt nie słyszał, a skromne fundusze topniały. Musiał sypiać w tanich hotelikach, bo choć noce były jeszcze ciepłe, nie mógł ryzykować, że zostanie aresztowany za włóczęgostwo. Za wszelką cenę starał się uniknąć sytuacji, w której skontrolowano by jego dokumenty,



bo choć kenkartę Noah Fischera schował na dnie bagażu i podróżował z legalnym paszportem, nie mógł przecież wykluczyć, że jako uciekinier z obozu jest poszukiwany przez policję.

Raz i drugi poprosił o nocleg w stodole, a poczciwy gospodarz nie tylko się zgodził, ale jeszcze nakarmił wychudzonego wędrowca – lecz na dłuższą metę nie było to bezpieczne. W dodatku wojna coraz wyraźniej dawała o sobie znać. Wprawdzie tam, gdzie szukał, nie prowadzono działań wojennych, gdy jednak na którejś ze stacji kolejowych zapytał o połączenie do Pucka (pamiętał, że właśnie stamtąd pochodziła babcia Katrin), usłyszał, że nie ma mowy, aby się tam dostał.

– Parę dni temu nasi zdobyli Putzig – usłyszał od siedzącego w poczekalni łysego jegomościa w binoklach. – Były naloty, że aż się kurzyło! Przetrzepaliśmy Polaczkom skórę!

Peter przeraził się, zaraz jednak wytłumaczył sobie, że na pewno bombardowano jedynie obiekty wojskowe, a nie spokojne wioski rybackie. Wiara w to, że dobry Bóg ocalił Katrin, była mu niezbędna jak oddychanie.

W takim razie Puck odpada. Poza tym lada chwila skończą mi się pieniądze, pomyślał. Powinienem gdzieś się zatrzymać, znaleźć dorywczą pracę i zarobić parę groszy. Już pomijając fundusze na dalszą podróż, muszę zwrócić wdowie Lankosch to, com od niej pożyczył. I jaki sens ma jeżdżenie ze stacji na stację, skoro błąkam się po omacku...?

Nagle przyszło mu do głowy coś, o czym wcześniej nie pomyślał. Marlene! Przecież ona może coś wiedzieć! Wprawdzie pamiętał z listu od Rudiego, że kuzynka wyjechała, ale przesyłki do niej mogą wciąż przychodzić na stary adres... Kto wie, czy gdzieś tam, w jej pokoiku w Sommerfeld, nie leży list, a na odwrocie koperty nie widnieje aktualny adres Katrin? Może też ciotka i wuj mają jakieś informacje!

Że też nie wpadłem na to wcześniej, beszał się Peter w duchu. Zaoszczędziłbym tyle czasu, nie mówiąc już o wyrzuconych w błoto pieniądzach na bilety! Cała tułaczka na marne!

Zaraz jednak odzyskał rezon. Wcale nie na marne, pomyślał. Bo przecież sporo się dowiedziałem. Skoro zawiadowcy tych wszystkich stacji zgodnie twierdzą, że żadna panna odpowiadająca opisowi Katrin nie zamieszkała w ich miasteczku w ciągu ostatniego roku, to chyba mogę te miejscowości wykluczyć. A teraz trzeba wracać do Sommerfeld i jakoś dyskretnie wypytać ciotkę o to, czy do Marlene nie przychodzą listy od Katrin. Dzięki ci, dobry Boże, za tę myśl!

Tak jak się Peter spodziewał, Marlene w Sommerfeld nie zastał. Przeczekał noc w rodzinnej wsi, zaś do miasteczka wyruszył tuż przed świtem, ukrywając się przed ludźmi – skoro w świat poszła wieść o jego śmierci, to lepiej było nie wyprowadzać z błędu ewentualnych nieprzyjaciół. Nad ranem udało mu się dotrzeć niepostrzeżenie do kamienicy, w której mieszkała ciotka, wahał się jednak, co czynić dalej.

Że można zaufać matce Marlene, tego był pewien, w końcu była jego krewną; nie sądził, że chciała mu zaszkodzić. Natomiast za grosz nie darzył zaufaniem wuja.

Ostatecznie zaczął w piwnicy, wyglądając ostrożnie na schody, ilekroć na klatce schodowej dały się słyszeć kroki. Spodziewał się, że wuj lada moment wyjdzie z domu, może do piekarni albo po gazetę, a wówczas on będzie mógł odwiedzić ciotkę w mieszkaniu. Stało się jednak inaczej, bo to pani Wiemann zeszła do piwnicy po słoiki. Peter ucieszył się, jakby był to znak od samego Boga – jakby dobry Ojciec uśmiechnął się do niego i poklepał go po ramieniu.

– Wszelki duch! – zawołała krewna zduszonym szeptem, widząc go. – Peter! To naprawdę ty?! – Z nabożnym lękiem dotknęła jego ramienia, a potem przyłożyła obie dłonie do szorstkich, nieogolonych policzków. – Przecież napisano nam, że nie żyjesz!

– Tak, wiem. – Machnął ręką lekceważąco, aby pokazać, że nie ma się nad czym rozwodzić. – Chorowałem ciężko, ale jak widzisz, ciociu, przeżyłem. A Marlene... Marlene jest w domu?

– Nie ma jej, chłopcze. Wyjechała już jakiś czas temu. Najpierw do Kolonii, a teraz... – Ciotka urwała, jakby niepewna, czy powinna wchodzić w szczegóły. – Pracowała w cukierni. Píše do mnie od czasu do czasu.

– A nie przychodzą tu do niej listy od Katrin? Od tej dawnej przyjaciółki? Szukam tej dziewczyny, ciociu. Nie wiesz przypadkiem, gdzie ona teraz mieszka?

Ogarnięta wojną Europa.  
Katrín i Peter, kochankowie z Dolnych Łużyc,  
próbują się odnaleźć, nie mając pojęcia,  
że chwilami los krzyżuje ich ścieżki.  
Tymczasem służący w Wehrmachcie Rudi  
przeżywa załamanie nerwowe, zaś Marlene  
podejmuje decyzje, których przyjdzie jej  
gorzko żałować.

Co przyniesie koniec wojny? Kto zapłaci  
najwyższą cenę, a komu uda się przeżyć?  
Czy miłość przetrwa wieloletnią rozłąkę?  
I czy marzenie o powrocie do domu  
ma szansę się spełnić?

A jeśli nie będzie już do czego wracać?



wydawnictwofilii.pl



Klub książki

ONA  
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

FILIA

cena 47,90 zł

ISBN 978-83-8357-364-9



9 788383 573649